

Mój SUPERBELFER



EKSPERYMENT Z TROJGIEM

Natalia Kukulska, wokalistka

Uczniłem się w XOI Społecznym Liceum im. Jerzego Grotowskiego w Warszawie, szkole z mocnym odchyleniem humanistycznym. Mój rocznik był eksperymentalny – profil menedżersko-artystyczny. Mieliśmy nauczycieli z podejściem akademickim, czuliśmy się tam prawie jak na studiach. Trzech profesorów zapamiętałam wyjątkowo, nieestety już odeszli. Profesor Adam Karpinski uczył polskiego. Miał niesłychaną umiejętność zaskakowania posp. Fantastycznie poruszał się w historii literatury. Dawał uczniom dużo swobody w interpretacji wierszy – był takim „poruszyteliem wyobraźni”. Miał poczucie humoru. To jego zasługa, że stałam się wielbiczką poezji, zwłaszcza z okresu Młodej Polski. Na maturze pisałam interpretację wiersza. Ustąpiłam podłom, że była to jedna z najlepszych prac maturalnych w mojej klasie. Pani Ewa Nofkowska uczyła historii. Robiła to w sposób uprzedkowiowy i czytelną – pamiętam jej wykłady ułatwiające zapamiętywanie dat i faktów. Była obiektywna w ocenie wydarzeń historycznych, a przy tym zawsze miała własne zdanie. Spokojna, mądra. Pielła dużo papierosów, czasem nawet z uczniami. Miała z nami świetny kontakt, ale nie dawała sobie wchodzić na głowę. Przed maturą chodziłam do niej na dodatkowe zajęcia. To wtedy wybrałam kierunek studiów. W dyskusjach o historii najbardziej interesowały mnie wątki filozoficzne – wspaniale, jak ta historia z filozofią się łączyła. Pomysłowa: może będę jej studiowała? Ale kompletnie nie siebie nie wierzyłam. A pani profesor przekonywała: zdasz, spróbuj! i udało się. Indeks odesłałam z rąk prezydenta Lecha Wałęsy – wyróżnienie dla najlepszych na egzaminie. Niestety, nie skończyłam studiów, bo po dwóch latach wciągnęła mnie praca i postawiłam jednak na muzykę. Janusz Mraczewski był reżyserem, aktorem, scenografem. W liceum uczył nas reżyserii, dramy, historii teatru. On tak konstruował zdania, miał taki hipnotyzujący głos, że można go było jeść tykami. Potrafił całą klasę „złapać” po największym zdaniu. Pracowiliście nad dykcją, mam popowiem wierszem była Żona Włosa Gałczyńskiego. Zajęcia profesora to były lekcje życia. Dawał nam proste, ważne rady: na przykład, żeby codziennie rano uśmiechnąć się do siebie w lustrze.



KOSMITKA I JA

Bartosz Węglarczyk, dziennikarz

Ela i Łysy – każdy z nas, dzieciaków z podstawówki nr 260 na Mokotowie, którzy ich do dziś. Były lata 80. Pani Ela Wysoka (na „Y” przeszliśmy po maturze) uczyła nas matematyki, jej mąż archeolog był naszym drużynowym w harcerstwie. Niezwykłe ludzie, kolorowi, uważałem, że wyprzedzali swoją epokę. To był ponura, była jaka Polska, gdzie większość ludzi żyła na „nie” – wszystko nie tak, bez sensu. Oni mieli małutkie mieszkanie w odpijanym bloku. Pod jedną ścianą piętrzyły się książki Eli, pod drugą „skorupy” Łysego. A w środku, na podłodze – my, dzieciaki, często z biednych rodzin, zasłuchani. Można powiedzieć, że Ela mnie wychowywała. Uczyła nie tylko matematyki, ale prostych wartości: koleżeństwa, bezwarunkowej przyjaźni, otwartości na innych, poczucia wolności. Pilnie herbatę w szklankach i rozmawialiśmy o ludziach, o miłości, o polityce. Dawała nam jeść, puszczała płyty – u nich pierwszy raz usłyszałam Floyda, Okawę, Jędrzejko na obco, wycozki, w Bieszczadach. Pamiętam długie noce rozmowy w schronisku pod Komarną, i wyjazdy na „wykopiska” do Probuszowice. Płockich – było tam wtedy jedno z największych w Europie stanowisk archeologicznych. Z naszych dyskusji zawsze wynikało jedno: warto być optymistą, wierzyć w siebie, być pozytywnie nastawionym do ludzi. W kontekście ogólnej szaryzacji tych czasów ci dwójce ze swoimi poglądami był jak kosmos. Ela traktowała nas poważnie, jak partnerów – to było rzadkie w czasach, kiedy spotykało się w szkole nauczycieli bitych uczniów. Była pobłażliwa dla naszych błędów, choć także wymagająca. Nigdy się nie wkurzała. Jednak wystarczyło, że powiedziała spokojnie: „Jestem rozczarowana”, i człowiek czuł się podłe. Była piękna kobietą, wtedy około 40-letnią. Miała zgrabną figurę, krótkie kędzierzawe włosy i zadziorny noszek. Wtuli kogoś się w niej podkochiwało, ciekawe, czy o tym wieszcieś. Ela, pani Ela, bardzo chciałam Panią odwiedzić, spobacić się. Czy czyta Pani ten tekst?



ANITA, ROZUMIESZ?

Anita Werner, dziennikarka

Dwoje nauczycieli wspominać szczególnie. Oboje z mojego łódzkiego I LO im. Mikołaja Kopernika. Prestiżowa szkoła, złotyś młody, że taka dla kujonów i olimpijczyków. Bardzo chciałam się tam dostać – uczył się w niej mój tata, a ja chodząc z nim na szkolne zajęcia absolwentów, zakochałam się w atmosferze tego liceum. Pech – w moim roczniku stworzono tylko dwa profile klas: mat.-fiz. i biol.-chem. A ja chciałam do humanistycznej. Trudno, zdecydowałam się na „cięższą” – w podstawówce miałam piętki z matematyki i fizyki. No i bardzo szybko zerzyłam się z rzeczywistością. W pierwszym semestrze dwója z fizyki. I tenż moment kluczowy – profesor Kozłowski Przybyszewskiego. Średniego wzrostu, z włosami zaczesanymi do tyłu, w jasnej koszuli i karciastych okularach. I ten głos: miękki, obciążający, że jego właściciel jest pomocnym, mądrym człowiekiem, który nikomu nie zrobi krzywdy. I to wszystko prawda! Kiedy profesor poznał się na mnie i zrozumiał, że z fizyką w życiu raczej nie będę miała nic wspólnego – odpuszczył. Takowało mnie z cierpliwością. Pisał na tablicy i odśrodk odwracał się nagle, szukając mnie wzrokiem – siedziałam w ostatniej ławce. „Anita, rozumiesz?” Kwatam głową, ale oczywiście nie nie rozumiałam, bo do matury zostałam fizycznym matematkiem. Profesora, dziękiując za wyrozumiałość! Druga osoba to moja polonistka, profesor Liliana Szymańska. Miała zawsze mocno wykreślane oczy, na czubku głowy szczyrzący koki z długich jasnych włosów. Mówiła głosem niskim, chrapliwym, zwiaskowym. Do dziś podziwiam ją za energię, siłę i znowu – wyrozumiałość. Przed maturą dostałam propozycję zagrać główną rolę w filmie Stodko-gorski. Uzbrogona w piermo od producentów filmu, w asyście taty postawiłam przed panem dyrektorem o zgodę na „urlop”. Dostałam rolę. Nadzieję jednak dzień, kiedy światło dzienne ujrzały moje zeszyty z notatkami z lekcji. Mówi opuszciliśmy. A ponieważ nie chciało mi się ich przepisywać, mój zeszyt do polskiego był zborem skesrowanych notatek z zeszytów różnych kolegow. To, że zostało mi wybaczone, zawdzięczam tylko żywiołowości profesor Szymańskiej. Ona naprawdę lubiła uczniów, zachęcała, by podzielić się pasją. Była wymagająca i miała autorytet, tym mi imponowała. Może dlatego dziś tak cenię silne kobiety?